

Promień miłości¹

(Szkic)

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

Ilekcio mówią mi o wzniosłym uroku, jaki posiadają Troki, – zawsze przypominam z lat ubiegłych zaiste czarujące chwile, spędzone w tym „gnieździe polskich Karaimów”.

Było to w dniu 9-go Tammuza², w którym każdego roku wszyscy rodacy idą na cmentarz – miejsce wiekiuistych ukojeń, by oddać cześć ukochanym zwłokom. Dnia tego ze wszystkich stron Polski przybywają do Trok Karaimi, pomni szlachetnej tradycji.

Z rana poszedłem do Kienesy. Dla wielu osób zabrakło miejsca. W stallach stoją w dwurzędzie. Słyszę melodyjny śpiew Hazzana, widzę wzniesione ku górze oczy rodaków: modlą się żarliwie, prosząc o Królestwo Boże dla zmarłych, o żywot szczęśliwy pozostałym. Zatopiony wzrokiem w płomienie świec, w błysk kaganka – widzę wionący siny dym, topię w nim terażniejszość, wzbudzam misterne marzenia...

Lecz oto nabożeństwo się skończyło. Wychodzimy z Kienesy; idziemy przez Karaimszczyznę³ w kierunku mostu – na cmentarz. Boże! Jak dziwnie błogie uczucia kołyszają mą duszę, gdy widzę tych urzędników, adwokatów, rolników, studentów, rzemieślników, skojarzonych jednym wspólnym celem, natchnionych jedną wzniosłą myślą...

Wchodzimy na cmentarz przez starą bramę. U samego wejścia groby Hachamów oraz znakomitych ludzi świeckich, m.in. grób Ezry bar Nissana, lekarza nadwornego Króla Jana Kazimierza.

Stajemy półkolem. Hazzan wygłasza kazanie. Mówi o braterskiej miłości, o zgubnych skutkach waśni społecznych; błogosławi tych, którzy święcie pamiętają rodzime strzechy, ojczyste zagony, ukochany przytułek ukojenia przodków, uroczy „kraj lat dziecinnych”... Wtem zaczął śpiewać „kyna”⁴. Dreszcz przejął me ciało. Wzdrygnąłem się już na pierwsze nuty tej melodii niewidzial-

¹Myśl Karaimska, 1924, z. 1, s. 20-21.

²Czerwiec - lipiec.

³Dzielnica m. Trok, zamieszкана prawie wyłącznie przez Karaimów.

⁴Śpiewy żałobne, opiewające m.in. skutki zarazy, która wybuchła w Trokach w roku 1710.

nych strun, melodii, która wykradała z ludzkiego serca, jak duch błady z cmentarnych trumien. Czułem, że się oderwałem od ziemi i spadłem w otchłań. Słowa stały się namacalne, dotykały mej duszy, dręczyły swoją męczarnią, przerażały zmartwieniem, opowiadały bolesne dzieje...

Ludzie żyją – panuje dobrobyt. Lecz oto zjawia się straszliwy mor i zabiera codziennie kilkanaście osób na cmentarz. Matka ubolewa nad zastygłym ciałem ukochanej dziewczeczki, żona próżno nawoływa po imieniu swego małżonka: skurczony, z zacisniętymi wargami zanieś swą skargę przed tron Wszechbłogiego...

Niebo zaczęło się chmurzyć. Firmament – jakoby z ołowiu – gniótł mą duszę, wyrывał me zmysły, mącił umysł...

A śpiew huczy, śpiew smutny, zwiewny, bolesny. Przed oczyma powstają obrazy, jaskrawe, jak zygzaki błyskawicy, groźne jak uderzenia grzmotu. Całe miasteczka wymierały, zostawały tylko cmentarze. Słyszę przeraźliwe nawoływania; Gniew, gniew Boży! Widzę: starzec z siwą brodą, z błyszczącymi oczyma stoi przed ołtarzem, a tłum ludzi, podobnych do kościotrupów, wznosi w swym sercu modły ku Przedwiecznemu, Wszechmocnemu Stwórcy. Wyrazów nie słyhać, bo dusza im skamieniała; łez nie widać, bo oczy są wypłakane. Tylko jęki, – a rozpacz. Tylko zmartwienie ludzkie, – obdarte, przerażające swą niewysłowioną nagością ...

Zaczął padać deszcz, i brzęk uderzeń kropel o listowie drzew zmieszał się z melodią, ze słowami. Przez kilka chwil jeszcze dolatywały mnie wyrazy pokuty... Lecz potem prześnione brednie jak obręczem skuły moje jestestwo, tęsknota konwulsyjnie ścisnęła pierś, duszę mą objął bezruch – sen...

Wtem... rozdarły się ołowiane niebiosy, ukazał się lazur, i wytrysnął pełny pieśczoły, radości – promień słońca. A wysoko, z ponad obłoku rozległ się na cześć życia hymn dookoła mnie: łzy szczęścia zawisły na rzęsach rodaków – przecie to promień miłości, przecie to zwiastun przebaczenia. Na śpiew skowronka zadrgały w mem sercu nici; promienie słońca przeszły przez pryzmaty duszy, i oto wybuchł promień wiary. Myślałem: Boże, co królujesz na niebiosach! Tyś, Który chronił Swój naród w ciągu stuleci! Wierzę: Ty nie dopuścisz do jego zagłady. Ty przebaczysz niezliczone grzechy, bo miłosierdzie Twe – nieskończone, bo miłość Twa – wiekuista...

Zatopiony w dal błękitną, słysząc szemranie drzew, już nie widziałem groźnych obrazów. Pieściłem wzrokiem smutne krzewy, nieruchome pomniki, zmacone fale jeziora, omywającego cmentarz; śmiało patrzyłem hen, w daleką przyszłość, albowiem wstąpiła do mej duszy otucha, widziałem bowiem promień miłości.